

1

Większość dzieciaków szybko przestaje wierzyć w bajki. Kończą sześć czy siedem lat i wszystko idzie w zapomnienie – Kopciuszek i jego fetysz obuwia, Trzy Małe Świnki i ich brak poszanowania dla norm budowlanych, panna Muffet i jej mały stołeczek. Może tak właśnie musi być. Aby przeżyć w prawdziwym świecie, trzeba zostawić za sobą fantazje i wyobrażenia. Problem polega na tym, że nie wszystko to jest fantazją. Niektóre elementy baśni są zbyt prawdziwe, zbyt rzeczywiste. Może i nie ma Czerwonego Kapturka, ale na pewno istnieje Duży Zły Wilk. Nie ma Królowy Śnieżki, za to jest Zła Królowa. Nie ma słodziutkich blond skrzatów, ale pożerająca dzieci wiedźma... o, tak.

Potwory są wśród nas. Zawsze tak było i pewnie już tak zostanie. Zawsze o tym wiedziałem i miałem świadomość, że sam jestem jednym z nich – przynajmniej w połowie. Niezależnie od tego, jakie nikczemne instynkty mogłem odziedziczyć po przodkach, z zewnątrz byłem stuprocentowym człowiekiem. Niko powtarzał mi, i to całkiem często, że mam więcej ludzkich odruchów niż zdrowego rozsądku. Nigdy nie wahał się podkreślić, że niezależnie od tego, z czym musiałem się borykać, wciąż byłem jego zasmarkanym młodszym bratem. Jeśli chciałbym się zadreć z tego powodu, musiałbym najpierw przejść przez niego. W głębi duszy Niko był prawdziwym skautem – tyle że zabójczo groźnym. Miał nawet sprawność z wykorzystania zabójczych broni.

Mimo całej swej fascynacji ostrymi przedmiotami nie miał w sobie ani kropli krwi potwora. Moim zdaniem jego ojciec nie

powinien zostać sklasyfikowany jako człowiek, ale, technicznie rzecz biorąc, spełniał standardy definicji. Bezwartościowy gnojek. Niko nawet go pamiętał – miał dwa tygodnie, gdy jego staruszek dał dyla i nigdy nie wrócił. Doskonały przykład miłości rodzicielskiej. Dwa tygodnie i w długą. Chyba nawet ja więcej widywałem swojego ojca – przynajmniej raz w miesiącu. Obserwował mnie. Nie było żadnych gadek ojca z synem, żadnych zaproszeń na herbatę do kuzynów-potworów, w ogóle żadnej interakcji. Tylko cień przyczajony w zaułku, który miałem, albo sylwetka odcinająca się cienką, wijącą się linią i ostre zęby na tle szyby w nocy. Oczywiście nie nosił na szyi tabliczki z napisem „Tata” ani nie zostawiał mi prezentów urodzinowych przewiązanych wstążką nienaturalnie długimi, szponiastymi palcami. Nie miałem żadnego dowodu, że to właśnie jest ten demoniczny dawca spermy, ale dajcie spokój. Jeśli własna matka co chwilę powtarza ci, że jesteś potworem, ohydą, którą powinno się wyskrobać na kafelki w łazience, to myślisz sobie: w jakim celu ten potwór miałby mnie śledzić? Najśmieszniejsze jest to, że ten potwór okazywał mi znacznie więcej zainteresowania, niż moja matka kiedykolwiek raczyła wykazać.

W miarę upływu lat przyzwyczałem się do tego. Kilka razy próbowałem się do niego zbliżyć – z ciekawości, a może z powodu braku instynktu samozachowawczego, któż to wie? Jednak on zawsze znikał, roztopiał się w ciemności. Zwykle czułem wtedy ulgę. Być półkrwi potworem to jedno, a zaakceptować to nietypowe dziedzictwo to drugie. Gdy miałem czternaście lat, wszystko się zmieniło. Przestałem szukać potworów.

Zacząłem uciekać.

A raczej zaczęliśmy uciekać razem, Niko i ja. Przez cztery lata, które ciągnęły się jak czterdzieści, stale byliśmy w biegu. Zrobiliśmy z tego styl życia. Zawsze uważałem, że Niko zasługuje na coś więcej. Myślicie, że mnie słuchał, gdy mu to mówiłem? Cholera. Nic z tych rzeczy. Mój brat z utrzymywania mnie przy

życiu uczynił swój zawód. Kiepska praca, bez żadnych świadczeń i dodatkowych korzyści.

Podobna do tej, którą ja wykonuję teraz, pomyślałem ponuro. Wetknąłem mopa z powrotem do wiaderka i zamieszałem w szarej, śmierdzącej wodzie, po czym znów wziąłem się za mycie podłogi. Nie uwierzylibyście, ile rzygów może wyprodukować bar pełen pijanych ludzi. Teraz z kolei nie mogłem uwierzyć, że posprzątanie tego zajmuje aż tyle czasu. Ironia losu polegała na tym, że dzięki fałszywemu dowodowi, który postarzył mnie z dziewiętnastu lat na dwadzieścia jeden, mopowałem podłogę z przetrawionego alkoholu, zamiast przetrawiać go sam.

– Kal, wychodzę. Zamknij za mnie, dobrze?

Spojrzałem przez ramię. Stara dobra Meredith „Zamknij za mnie”. Zawsze można było na nią liczyć – a konkretnie na to, że zostawi cię z robotą na głowie i urwie się przed czasem.

– Aha, idź. – Machnąłem ręką. Postanowiłem sobie, że któregoś dnia powiem, by pocałowała mnie gdzieś i sama dokończyła swoją pracę, ale po cichu liczyłem na to, że owego dnia będzie miała na sobie inną bluzkę, mniej obcisłą i nie tak głęboko wyciętą. – Mam cię odprowadzić?

– Nie trzeba, mój chłopak już na mnie czeka. – Pociągnęła mnie za kucyk. – Do zobaczenia jutro. – A potem zniknęła za drzwiami. Jej długie falujące włosy i krągła figura pozostały mi w oczach jak fluorescencyjne powidoki. Meredith przykładła dużą wagę do swojego wyglądu. Wyrzeźbiła swoje ciało z pasją i precyzją artystki. Prawdopodobnie sama nie pamiętała, jaki był jej prawdziwy kolor włosów – albo rozmiar stanika. Była żyjącą, chodzącą reklamą lepszego życia, jakie można było zyskać dzięki chirurgii plastycznej.

Mimo że dziewięćdziesiąt dziewięć procent jej ciała było sztuczne, to jednak było to cholernie atrakcyjne ciało. Dzięki fantazjom o nim nieprzyjemna praca polegająca na mopowaniu ludzkich płynów ustrojowych wydawała się trochę krótsza. Szczerze mówiąc, nie miałem nic przeciwko zamykaniu lokalu.

Po całym wieczorze za barem miło było pobyć samemu, w cichej i pustej sali. Zacząłem podejrzewać, że ta praca zrujnuje moje wyobrażenie o dobrej imprezie. Pijani ludzie tracili swój czar – nawet więcej, przestawali być zabawni. Po iluś razach patrzyenie na pijanego gościa, który spada ze stołka i rozbija sobie głowę, nie jest już śmieszne. A w każdym razie nie tak jak na początku.

Teraz w barze panowała cisza. Zdawała się miła, przytulna, jak te miękkie kocyki sprzedawane w sklepach, w których nie stać cię nawet na przejście przez próg. Było miło... spokojnie. Oprócz tego było też niebezpiecznie i Niko pewnie skopałby mi tyłek, gdybym o tym zapomniał. Sam, zamyślony, w opuszczonym miejscu stawałem się chodzącym, gadającym celem. Byłem zbiegiem, ofiarą i ani na sekundę nie mogłem o tym zapomnieć. Odstawiłem mopa, zamknąłem drzwi i wyszedłem na ulicę koło wpół do piątej. Nawet o tej porze ulice w Nowym Jorku nie są całkiem puste, ale na kilka godzin stają się rzadziej uczęszczane. Październikowy chłód dawał się już we znaki. Zapiąłem pod szyję czarną skórzaną kurtkę, którą kupiłem od handlarza w chińskiej dzielnicy za dwadzieścia pięć dolarów. Była to podróba podróby, ale najważniejsze, że pozwalała mi się wtopić w mrok.

Szedłem do domu, trzymając rękę w kieszeni, zaciśniętą na zabójczym prezenciku, który dostałem od Nika. Nie miałem daleko, od Avenue D. dzieliło mnie jakieś pięć przecznic. Nie była to najlepsza dzielnica, ale my nie byliśmy najlepszymi lokatorami. Trzymałem oczy otwarte, czujny niczym królik, który zwęszył wilka. Choć trzeba przyznać, że byłem królikiem z dużymi zębami i zabójczym prawym sierpowym. Jednak tym razem udało mi się dotrzeć z powrotem, nie natykając się po drodze na nic ze szponami, czerwonymi oczami ani apetytem na moją krew – bardzo udana noc. Wraz z Nikiem wynajmowaliśmy mieszkanie w kilkupiętrowym budynku – trochę zniszczonym, ale dalekim od kompletnego slumsu, choć wszystko zależy od definicji.

Drzwi na klatkę schodową chyba kiedyś się zamykały, teraz jednak były wiecznie uchylone na kilka cali, jak szczerbaty uśmiech starego człowieka. Wszedłem po schodach sześć pięter, burcząc i przeklinając pod nosem. Nie było tu windy – najwyraźniej właściciel budynku uważał normy budowlane za lekturę nieobowiązkową. Wszystko jedno. Nawet gdyby znalazła się tu winda, to pewnie i tak by nie działała, a nawet gdyby była sprawna, to nie chciałbym w niej kiedyś utknąć. Metalowa pułapka, powiedział kiedyś Niko. Mój brat nie miał w zwyczaju przesadzać, więc unikałem wind. Nie próbowałem sobie wyobrazić, co mogłoby mi spaść na głowę albo wleźć do środka od dołu. Dotarłem do naszych drzwi, otworzyłem je kluczem i wkroczyłem do ciemnego przedpokoju. Namacałem stary plastikowy przełącznik i nacisnąłem.

Nic się nie stało.

Pewnie przepaliła się żarówka – tak pomyślałby każdy normalny człowiek. Mnie trudno nazwać normalnym. Szybko zrzuciłem kurtkę – skrzywienie skóry zdradziłoby moją pozycję, zanim zrobiłbym krok. Postarałem się, by jak najciszej opadła na ziemię, po czym zacząłem posuwać się wzdłuż ściany, krok za krokiem. Jej dotyk był chłodny, nawet przez koszulkę, jak muśnięcie lodem po plecach. Nasłuchiwałem w skupieniu. Nie dobiegał mnie żaden dźwięk, żadnego szurania stóp po podłodze, nawet oddechu. Jednak ktoś tu był. Nie musiałem dzwonić do wróżki i płacić 2,99 dolara za minutę, by być tego pewnym. Przykucnąłem i powoli wyciągnąłem przed siebie rękę. To był zły pomysł.

Coś chwyciło mnie za nadgarstek, więząc go w uścisku jak stalowy potrzask. Napastnik szarpnął, aż dosłownie straciłem grunt pod nogami. Wymierzył mi cios w żołądek, a ja obróciłem się, by wylądować na plecach, czując, jak upadek boleśnie odbiera mi oddech. Wtedy ten ktoś chwycił mnie za gardło i wyszczał:

– Ostatnie słowo, trupie?

Zakaszlałem, odetchnąłem z trudem, po czym wycodziłem ochryple:

– Ależ z ciebie dupek, Niko. Powinieneś sobie znaleźć jakieś hobby.

– Utrzymywanie cię przy życiu to moje hobby. Szkoda, że go nie podzielasz.

Rozległo się ostre klaśnięcie i nagle wokół zapłonęły światła. Cudownie. Okazało się, że mamy teraz nowy system oświetlenia, klask włącz, klask wyłącz, żeby tym lepiej wyeksponować moją porażkę.

Skrzywiłem się i z irytacją odtrąciłem długi blond warkocz, który wisiał mi nad twarzą.

– Połowa rodziny już od dawna próbuje mnie wykończyć albo gorzej. Może chociaż ty mógłbyś wrzucić na luz?

– Nie. – Niko wzruszył ramionami, odrzucił warkocz na plecy i wstał. – Chyba szybciej zdołałbym wyszkolić kuchenny stołek – dodał, potem podał mi rękę i spytał kwaśno: – Gdzie jest nóż, który ci dałem?

Chwyciłem jego dłoń i pozwoliłem postawić się na nogi.

– W kieszeni kurtki – przyznałem. Niko spojrział na kłęb skóry przy drzwiach i uniósł brwi w niemym, ale wyraźnym geście dezaprobaty. – No cóż, przynajmniej dzięki temu uniknąłem pokusy skrojenia ci tego chudego tyłka.

– Daj już spokój – odparłem sucho. – Na pewno jesteś postrachem wszystkich okolicznych domokrażców.

Niko otrzepał czarny golf i spodnie z kurzu.

– Zamknij drzwi – polecił. – Nie ułatwiamy grendelom zadania.

Imiona to zabawna rzecz. Zawsze coś znaczą, nieważne jak bardzo chcielibyśmy wierzyć, że są wybierane przypadkowo. To Niko wymyślił grendele. Nie dość, że był blondwłosym Bruce'em Lee – był też piekielnie inteligentny. W szóstej klasie przeczytał Beowulfa i właśnie wtedy ochrzcił moich prześladowców mianem grendeli. Sam byłem wtedy dopiero pierwszakiem, więc nie miałem pojęcia, o co chodzi. Jednak nazwa szybko się przyjęła – w końcu potwory to potwory.

A teraz byłem tylko o trzy lata młodszy od mojego wielkiego brata. Niezła sztuczka, co?

„Kaliban” to też niezłe imię. Nie ma to jak napiętnować dziecko na całe życie. Nasza mama mieszkała w ciasnej kawalerce nad salonem tatuażu. Zarabiała na życie przepowiadaniem przyszłości, obskubując z pieniędzy naiwnych, zdesperowanych i głupich klientów. Była równie skłonna wymierzyć mi klapsa, co wychylić butelkę taniego wina, ale jedno należało jej przyznać: doskonale znała Szekspira. Kaliban, bohater *Burzy*, zrodzony ze związku wiedźmy i demona. Pół człowiek, pół potwór, niszczący wszystko, czego się dotknął.

Dzięki, mamó. Naprawdę wiesz, jak dodać synowi poczucia własnej wartości.

Zamknąłem drzwi i skierowałem się do łazienki.

– Czemu jeszcze nie śpisz? Chyba wiesz, że wszyscy grzeczni ninja powinni już spać i śnić o krwiożerczych owieczkach?

Niko mruknął coś z rezygnacją i podniósł moją kurtkę z podłogi. Zobaczyłem, że zwisa z czubka jednego z jego licznych ostrzy, po czym spada na oparcie naszej wysłużonej kanapy.

– Wcale nie są krwiożercze. – Skrzywił wargi w uśmiechu, podszedł i niedbale oparł się o drzwi łazienki. – Dostałem wiadomość w sprawie pilnego zlecenia na ochronę. Jakaś aktorka z podrzędnego teatru wmówiła sobie, że śledzi ją armia zboczonych prześladowców. Bardzo męczące.

– Jasne. – Udałem obleśny uśmiech i podszedłem do umywalki. Ściągnąłem gumkę z włosów, a wtedy czarne kosmyki, proste jak druty, opadły mi na oczy. Wycisnąłem odrobinę pasty na szczoteczkę i wziąłem się za szorowanie. Niko regularnie współpracował z jedną agencją ochroniarską. W zasadzie całą agencję stanowił jeden facet, który miał mnóstwo kontaktów, niektóre z nich nawet legalne. Ale płacił dobrze i do tego pod stołem. Żadnych podatków. Żadnych urzędów. Żadnego śladu dla grendeli. Co prawda nie potrafiłem sobie wyobrazić grendela w okularach i krawacie, jak wspina się mozolnie po szczeblach

kariery w dużej instytucji, jednak potwory lubiły czasem wykorzystywać ludzi, a niektórzy ludzie nie mieli nic przeciwko temu, by ich wykorzystano.

Niko patrzył w milczeniu jak płuczę usta i zdejmuję koszulkę.

– Niko, co się stało?

Jeśli znasz kogoś przez całe życie, nie potrzebujesz migającego neonu, by wiedzieć, że coś jest nie halo. Cię w oczach, lekkie zaciśnięcie ust. Czymś się martwił.

– Widziałem dziś jednego – powiedział z lekkim wahaniem.

Trzy słowa. Tyle wystarczyło, żeby ziemia osunęła mi się spod nóg, te trzy cholerne słowa. Zmiałem koszulkę rękami, które nagle zdawały się należeć do kogoś innego.

– Ach! – Jak zawsze elokwentny. Wrzuciłem koszulkę do umywalki, zamknąłem klapę od sedesu, usiadłem i zacząłem zdejmować trampki.

Niko podszedł bliżej – jego obecność dodała mi otuchy.

– Byłem w parku. Wyszedłem na wieczorny jogging.

– W parku – powtórzyłem głucho. – To ma sens.

O ile wiedzieliśmy, grendele nie przepadały za miastami, wołały mniej cywilizowane okolice: lasy, strumienie, milczące, ponure wzgórza. Jednak Nowy Jork był tak cholernie wielki. W tym miejscu bankowo można było natknąć się na jakiegoś potwora. Grendela, wampira, ghula, boboka... cokolwiek. Jeden grendel w Central Parku to jeszcze nie powód, żeby robić w gacie, prawda?

Prawda?

– Zostajemy czy nie?

Niko stukał rytmicznie w umywalkę. Raz, drugi, trzeci.

– Myślę, że powinniśmy zostać, przynajmniej póki nie natkniemy się na kolejnego. To mało prawdopodobne, by ten konkretny potwór miał coś wspólnego z nami.

– Miał? – Przeczesałem palcami włosy i spojrzałem na brata podejrzliwie. – Wiesz, Nik, nie mam wprawdzie dyplomu z językoznawstwa, ale to brzmiało jak czas przeszły.

– Na to wygląda – zgodził się łagodnie. Wyjął moją koszulkę z umywalki i podał mi ją z powrotem. – Idź spać. Wezmę pierwszą wachtę.

A zatem wróciliśmy do punktu wyjścia. Przez pierwszy rok po moim powrocie z... nie wiadomo skąd, wystawialiśmy warty z religijną gorliwością, ale po jakimś czasie trochę wyluzowaliśmy, i całe szczęście. Przez ten rok chodziłem permanentnie niewyspany. A ja naprawdę uwielbiam spać. Czy nie tak wygląda definicja nastolatka? Nienasycona śpiączka na dwóch nogach. Pozbawiony prawnie mi należnych dziesięciu godzin snu dziennie, robiłem się drażliwy.

Skrzywiłem się, ale skinałem głową.

– Okej. Obudź mnie za cztery godziny – przypomniałem, po czym walnąłem się na materac, przykryłem kocem i natychmiast odpląnałem. Potrafiłem zasnąć zawsze i wszędzie. Była to bardzo przydatna umiejętność, jeśli człowiek spędza całe życie na umykaniu przed potworami. Krótkie drzemki tu i tam to czasem było najlepsze, na co mogłem liczyć.

Spanie oznaczało jednak sny, a sny oznaczały koszmary. W moim przypadku te dwie rzeczy działały zamiennie. Mógłbym się założyć, że Niko też miał swoje zmory, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał – twierdził, że jego umysł jest na tyle zdyscyplinowany, by położyć kres wszystkim podświadomym hecom. Znikajcie, mdłe upiory, tako rzekę ja, Niko Wspaniały. Nik potrafił sprawić, że nawet oczywiste łgarstwa zdawały się szlachetną prawdą.

Co do mnie, to regularnie odbywałem wycieczki po mieście koszmarów i, jak dotąd, nie potrafiłem nikogo oszukać... Nawet samego siebie. Zawsze śniłem ten sam sen. Może to powinno mnie ostrzec, nawet w śnie mógłbym się jakoś przygotować. Nigdy mi się to jednak nie udało. Zawsze zaczynało się tak samo, tym samym uczuciem, tym samym smakiem czegoś miłego, pełnego nadziei.

A potem straszliwy zawód.

Obudziłem się przed upływem moich czterech godzin. Zerwałem się z bijącym sercem, zlany potem jak człowiek chory na malarię. Przełknąłem żółć i zacisnąłem ręce na kołdrze, jakby tylko ona powstrzymywała mnie przed upadkiem w przepaść. Usiadłem na skraju łóżka i sięgnąłem do lampki. Światło natychmiast zalało pokój, ale niektóre cienie pozostały. Czasem zostawał o jeden za dużo. Zerwałem się i wcisnąłem przycisk w ścianie. Za każdym razem przyplątywał się jakiś grendel.

We śnie znów miałem czternaście lat. Byłem rozrabiaką, ale chyba nie gorszym niż większość chłopaków w moim wieku. Próbowalem alkoholu. Parę razy ukradłem coś ze sklepu czy zwagarowałem ze szkoły. Normalne rzeczy. Jednego nie robiłem: nie wdawałem się w bójki. Nigdy. Myślicie, że to wy macie w życiu pod górkę? Albo wasz kumpel Joe Junior, synek alkoholika? Wsadźcie sobie waszą genetyczną skłonność do uzależnień i porównajcie to z pełnym wiadrzem DNA potwora. Podczas gdy on martwił się, że piwo przyrośnie mu do ręki, ja umierałem ze strachu, że zaraz wydrę serce temu bezczelnemu dupkowi, który siedzi przede mną w ławce. Nic takiego się nie stało, ale nigdy nic nie wiadomo. Zawsze istniała taka możliwość, niezależnie od tego, czy widziałem sygnały, czy nie.

Jednak tamtego dnia było inaczej. To był dobry dzień. Może nawet wspaniały. Niko znalazł sobie pracę i mieszkanie i niedługo mieliśmy się wyprowadzić. Był na pierwszym roku w stanowym college'u – otrzymał pełne stypendium. Mógł trafić w lepsze miejsce, ale chciał studiować blisko domu. Byle tylko mieć mnie pod ręką – mnie, swojego demonicznego albatrosa. Oczywiście, zachowałem tę myśl dla siebie. Lubilem swój tyłek i chciałem zachować go w jednym kawałku, a Niko przykopałby mi w niego z buta, gdyby tylko wiedział, o czym myślę. Ale, do cholery, myślałem tylko o tym, co mama powtarzała mi przez wszystkie lata. A jeśli ktoś znał się na demonach, to właśnie ona.

Przecież w końcu przeleciała jednego.

Nie płakała na wieść o moim wyjeździe. Moja matka, Sophia Leandros, nigdy nie miała zbyt rozwiniętego instynktu macierzyńskiego, nawet w stosunku do swego ludzkiego syna. Czasem czułem się jak uczestnik eksperymentu na zwierzętach, które pokazują w telewizji. Zwierzęta urodzone i wychowane w niewoli, które nigdy nie widziały narodzin młodych, nie wiedziały, co zrobić z własnymi dziećmi, gdy już je miały. Obwąchiwały z niesmakiem małe, wilgotne stworzonka, obrzucały je czujnym spojrzeniem i odchodziły, nie oglądając się za siebie. Czasem myślę sobie, że nasza stara dobra mamuśka zdążyła dotrzeć do baru po przeciwnej stronie ulicy, jeszcze nim pielęgniarka skończyła obmywać mnie z krwi. Tak samo było z Nikiem. Może bardziej go tolerowała, ale też nigdy nie traktowała go z miłością i czułością, raczej tylko z nieco mniejszym obrzydzeniem.

A zatem w wieku czternastu lat byłem już gotowy, by otrząsnąć proch ze stóp i zostawić ją za sobą. Nie mogłem się doczekać, kiedy umknę z tych ciemnych, mrocznych wzgórz i cienistych kotlinek, które mogły skrywać tysiące rzeczy. Grendele nie nękały nas wtedy – po prostu obserwowały. W mieście było lepiej – tam widywaliśmy je naprawdę rzadko. W zasadzie był to jeden i ten sam osobnik: mój kochany tatuś. Jednak z czasem to się zmieniło – zaczął przyprowadzać kumpli. A na wsi widywałem grendele prawie każdego dnia. Czasem po zachodzie słońca w mroku widać było tyle migoczących czerwonych oczu co robaczków świętojańskich. Było to – nie będę ściemniał – zażebicie przerażające. Nie mogłem się przyzwyczaić, choć widywałem je całe życie. Jeden czy dwa to było dosyć. Gdy zjawiało się ich więcej, niż mogłem zliczyć, niemal czułem jak powietrze zamarza mi w piersiach i rozdziera płuca.

W mieście było lepiej, ale Sophię wyrzucili z mieszkania, bo przez chłanie straciła swoich najlepszych klientów, a oprócz tego narobiła długów i przeprowadzka na wieś nagle stała się nieunikniona. Wyruszyliśmy zatem, by prowadzić proste wiejskie życie w rdzewiejącej metalowej przyczepie rozkraczonej na kawałku

ziemi, jak najbardziej oddalonej od najbliższych sąsiadów. Nie wiedziałem nawet, kto jest właścicielem tej działki i nie byłem pewien, czy Sophia to wie. Znalazła to miejsce za pomocą swojego szóstego zmysłu, udoskonalonego przez lata kombinowania, oszukiwania i zwykłych kradzieży. Mieszkaliśmy w tym blaszanym Tadž Mahal już od dwóch miesięcy. Dobrze, że były wakacje, bo nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się najbliższa szkoła, a nawet gdybym wiedział, to i tak nie jeździł tędy żaden autobus.

Jednak dziś miał być nasz ostatni dzień na tym zadupiu. Właśnie pakowałem graty do mojej podróźnej walizki zrobionej z torby na śmieci, gdy Niko usiadł obok na materacu i skrzywił się z dezaprobatą.

– Chyba nie zamierzasz tego zabierać, co, Kal?

– Kaliban – poprawiłem odruchowo. Jakiś czas temu uznałem, że nie chcę, by nazywano mnie Kal. Imię Kaliban oznaczało potwora, a przecież tym właśnie byłem i nie zamierzałem o tym zapomnieć, nawet na chwilę. Spojrzałem na bluzę, którą trzymałem w ręku. – Dlaczego nie? To moja ulubiona. Bez przerwy ją noszę.

Niko nie odpowiedział na zaczepkę, ale wiedziałem, że nie podda się w kwestii imienia. Dał mi chwilę spokoju, ale wiedziałem, że albo ustąpię, albo rzuci się na mnie, gdy akurat najmniej będę się tego spodziewał. Nigdy nie byłem wzorem psychicznego zrównoważenia, ale Niko nie zamierzał się poddawać. Znów wrócił do tematu bluzy; pochylił się i wetknął palec w dziurę przetartą na łokciu.

– Tak, zauważyłem. Chyba zalubiłeś ją na śmierć. Nie mówiąc już o kolorze.

– Co masz przeciwko fioletowi? – Wepchnąłem bluzę do torby i rzuciłem bratu ostrzegawcze spojrzenie. Nie miał wyboru – musiał zaakceptować mnie razem z moimi ciuchami.

– Wszystko na świecie, a poza tym ten odcień ledwo kwalifikuje się jako pełnoprawny kolor. To raczej gwałt na wzroku.

Wyszczerzyłem zęby.

– Ech, wy studenci i wasze wyszukane słowa. – Zacząłem właśnie zawiązywać worek, gdy w głębi przyczepy rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Nie sądziłem, że w tej norze zostało jeszcze coś do stłuczenia. – Silna ręka opadła mi na ramię; był to mocny, kojący uścisk. Po raz pierwszy od dawna nie próbowałem jej strącić ani odepchnąć jak każdy szanujący się czternastolatek.

– Pewnie jakiś talerz. Łatwiej jest je tłuc niż zmywać, prawda? – Wyciągnąłem kolejną torbę. Dłoń Nika przesunęła się z mojego ramienia na włosy i zmierzwiła je bez litości.

– Biorąc pod uwagę, jak je myjesz, to chyba bardziej higieniczne rozwiązanie. – Niko wstał i ruszył w stronę drzwi. – Dalej bracie. – Westchnął. – Pakuj się dalej. Wyjeżdżamy za godzinę.

A potem zademonstrował, co to znaczy „nie spoglądać wstecz”. Kończąc pakowanie, słyszałem jego spokojny, cichy głos i bełkotanie Sophii dobiegające z kuchni. Ścisłe rzecz biorąc, słyszałem każde słowo. Do kuchni było w końcu jedynie trzy i pół metra – nie miałem wyboru.

– Jeszcze tu jesteście? – spytała obojętnie. Kiedyś jej głos brzmiał jak przydymiony błękitny aksamit, teraz przypominał raczej wytarty poliester, wystrzępiony po brzegach i poplamiony tanią whisky. Myślę, że to dlatego była tak popularną wróżką. Ludzie płacili nie tyle za jakość jej przepowiedni, ile za sposób, w jaki je wygłaszała. W ustach Sophii Leandros nawet takie oklepane słowa, jak: „Poznasz przystojnego bruneta”, brzmiały tajemniczo i uwodzicielsko. A przynajmniej kiedyś tak było.

Odziedziczyłem jej głos, a także kruczoczarne włosy i ciemnoszare oczy, ale już nie jej oliwkową cerę. Byłem blady jak grendełe. Gdy miałem jakieś osiem lat, mama spojrzała na mnie w zamyśleniu. Było to dziwne spojrzenie, pełne obrzydzenia zmieszanego z niechętnie ujawnianą dumą.

– Może i jesteś potworem, ale za to jakim pięknym – powiedziała.

Po prostu świetnie – byłem nikiem, krwiożerczym stworem owiniętym w strzęp pozłotki. Nawet w wieku ośmiu lat nie uznałem tego za komplement.

Zbierając zakurzone, sponiewierane książki, usłyszałem głos Nika.

– Odjeżdżamy, jak tylko skończymy pakować rzeczy Kala. To nie potrwa długo. – Przerwał, po czym bez entuzjazmu spytał: – Dasz sobie radę?

Rozległ się śmiech i stukot kostek lodu podskakujących w szklance.

– Bez ciebie i tego diablego pomiotu? Cholera, kochanie, od-tąd może być już tylko lepiej.

A potem nagle stałem w wąskim korytarzu, patrząc na matkę... kobietę, której należałoby wyciąć macicę zaraz po przyjściu na świat. Siedziała przy kiwającym się stole, ściskając w rękę szklankę. Czarne włosy, bez śladu siwizny, spływały jej na plecy i czerwony jedwabny szlafrok, który pamiętał lepsze czasy. Jej oczy były zimne i lśniące jak stal. Chwilę wpatrywała się w Nika, po czym opróżniła szklankę dwoma haustami.

– Gdzie pieniądze?

Patrzyłem, jak mój brat wyciąga z kieszeni zwitek banknotów i kładzie na stole. Odkąd dostał pierwszą pracę – miał wtedy czternaście lat – oddawał Sophii część pieniędzy. Matka oczekiwała, że będę robić tak samo, ale na tym pustkowiu ciężko było o jakąś pracę, a byłem jeszcze za młody, by dostać prawo jazdy. Sophia zgarnęła banknoty i zρέcznie je przeliczyła.

– Płać regularnie, kotku, inaczej potworek wraca do mnie, do domu. Rozumiemy się? – Jej wzrok na chwilę przygwoździł mnie do podłogi – potem szybko wycofałem się do ciemnego pokoju.

Zastanawiałem się, dlaczego Niko nie przestał przysyłać jej pieniędzy, gdy wyjechał na studia i wyprowadził się do akademika. Ale było tak, jak przypuszczałem – Sophia trzymała nas w garści. Miałem tylko czternaście lat. Matka wcale nie musiała

się zgodzić, żebym mieszkał z bratem, a prawo było po jej stronie. Jak Niko zdołał płacić czynsz, oddając jej przy tym prawie całą wypłatę – widział tylko on. Nawet gdybym znalazł jakąś robotę, i tak cienko byśmy przędli. Ale darmowy akademik był częścią stypendium. Nie przewidywano tam płacenia czynszu. Nie przewidywano też jednak młodszycy braci.

Usiadłem na łóżku, czując, jak zapada się pode mną materac, i spojrzałem na swoje „bagaże”. Nagle każda z tych toreb zaczęła wyglądać jak łańcuch wykuty tylko po to, by ciężycy mojemu bratu. Musiałby rzucić szkołę i znaleźć drugą pracę. Był cholernie inteligentny, ale doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

W życiu dostaje się tylko kilka szans.

Przyciągnąłem do siebie najbliższą torbę i zacząłem ją rozwiązywać. Nagle czyjaś ręka złapała mnie za nadgarstek i ścisnęła na tyle mocno, że puściłem plastik.

– Nawet o tym nie myśl albo posadzę twoje graty na siedzeniu, a ciebie zapakuję do bagażnika.

To był cały Niko. I do tego wkurzony. Mój brat potrafił doskonale opanować gniew i większość ludzi nawet by się w tym nie zorientowała, ale ja wyczuwałem jego wzburzenie za każdym razem. I nigdy, w żadnym wypadku, ten gniew nie był wymierzony we mnie. Teraz też nie.

– Nie zostaniesz tutaj. Pod żadnym pozorem – oznajmił stanowczo, po czym zawiązał torbę. – Będzie dobrze, Kal. Damy radę. Obiecuję.

Ja wcale nie byłem tego taki pewien, ale wiedziałem jedno. Niko nie zamierzał mnie zostawić. Przez ostatni rok widywałem go tylko w weekendy. Przez cały ten czas planowaliśmy i oszczędzaliśmy. Ale teraz przyszła pora na działanie, a ja pomyślałem, że może jednak się uda. Może wystarczy tylko trochę wiary. A jeśli mnie jej brakowało, to Niko miał jej dość dla nas obu.

– Mówisz poważnie? – Mój głos nie zabrzmiał tak sceptycznie jak zamierzałem.

Nieważne. Niko i tak by mnie przejrzał.

– Mówię – odparł, a kąćki ust uniosły mu się lekko. – Oczywiście, oznacza to tyle, że odtąd będziesz musiał odrabiać lekcje, sprzątać po sobie, pomagać starszkom przechodzić przez jezdnę i słuchać się każdego mojego... – Nie wiem, co jeszcze zamierzał powiedzieć, bo walnąłem go poduszką.

Pasmo nieszczęść zaczęło się już w samochodzie – nie chciał zapalić. Porażka? Tak. Czy byłem zaskoczony? Ani trochę. Takie życie. Znacie to powiedzenie, prawda? „Gdy życie daje ci cytryny...” Cóż, w takim przypadku możecie je sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi, bo i tak nie doczekacie się lemoniady.

Niko grzebał przy wozie prawie cztery godziny, zanim uparty silnik zaczął współpracować. W końcu z trzaskiem zamknął maskę i pokazał, żebym przekręcił kluczyk z powrotem. Podeszedł do okna, ocierając ręce szmatą zrobioną z mojej starej koszulki.

– Chyba lepiej będzie tu przenocować i pojechać rano. Nie chciałbym się rozkraczyć po drodze.

Skrzywiłem się i walnąłem w kierownicę.

– Co za gówno! – mruknąłem, osuwając się na siedzeniu.

– Tak, dwieście pięćdziesiąt dolarów to już nie te pieniądze, co kiedyś – zgodził się złośliwie Niko. – Powinienem był wziąć Jaguara.

A zatem postanowiliśmy poczekać do rana. Nie powinno to mieć większego znaczenia, w końcu to tylko jedna noc. Ale wyjście z rozpadającego się samochodu Nika i powrót do przyczepy... Nie była to najlepsza chwila mojego życia. Czuję się jak niedoszły topielec, którego ktoś wciągnął do łódki, a potem wyrzucił po drugiej stronie. Innymi słowy: było fatalnie.

Mimo wszystko starałem się myśleć pozytywnie. Jedna noc, tylko jedna noc w perspektywie całego życia nie wydawała się tak znowu istotna. Powtórzyłem to sobie kilka razy, szorując zęby w naszej maleńkiej zagraconej łazience. Tyle razy odcinali nam prąd, że przyzwyczailem się robić wszystko po ciemku.

Gdy pochyliłem się nad umywalką, by wypłukać usta, nagle dostrzegłem coś w lustrze. Coś przesunęło się za mną, cień pośród cieni.

– Nik?... – Odwróciłem się, ale był tam tylko ręcznik rozwieszony na stojaku. Drżysz śmiertelniku, drżysz przed straszliwym gniewem frotowej tkaniny. Prychnąłem w duchu i poszedłem spać. Leżałem na wyboistej powierzchni udającej materac i bez powodzenia usiłowałem zasnąć. Co za niespodzianka. Po pewnym czasie, zbyt rozemocjonowany myślą o rychłej ucieczce, przewróciłem się na bok, uklepałem poduszkę i na jakiś czas odpuściłem sobie spanie. Z drugiego pokoju, gdzie Niko rozłożył się na kanapie, słychać było jego równy, spokojny oddech. Cały on – zawsze wyluzowany, prawie jak pacjent w śpiączce. Zastanawiałem się, czy nie wetknąć mu ręki do miski z ciepłą wodą i przekonać się, ile prawdy jest w tych legendach, że człowiek sika wtedy do łóżka, ale w tej samej chwili pojawił się cień innej legendy. Mroczniejszej, bardziej ponurej, która nawiedzała mnie całe życie.

Wygląda na to, że zwykłe nawiedzanie dobiegło końca.

Od strony okna dobiegł mnie jakiś dźwięk. Nie wydawał mi się ani przerażający, ani nienaturalny. Nie był nawet niepokojący. Ot, grzeczne pukanie w szybę. Puk, puk. Lekkie, miarowe uderzenia. Równie dobrze mógł to być twój kumpel z wakacji, przyjaciel ze szkoły... po prostu przechodził obok. Pukanie było znajome, przyjazne. Cześć stary, co słychać?

A zatem spojrzałem w okno nad łóżkiem. Na ułamek sekundy zapomniałem, że odkąd się tu przeprowadziliśmy, nie miałem już żadnych przyjaciół. Nie znałem nikogo w tej okolicy, żaden z sąsiadów nie mieszkał dość blisko, by zajrzeć do nas po drodze.

Nikt prócz rodziny.

Stał w oknie, skąpany w świetle księżyca. Jedną rękę przyłożył do szyby; jego długie, chude palce były blade jak światło księżyca. Wąska, spiczasta twarz uśmiechnęła się do

mnie tysiącem ostrych zębów, przybierając radosną minę lisa wpuszczonego do kurnika. Migdałowe oczy z pionowymi źrenicami błysnęły czerwonymi białkami, szkarłatnymi jak krew. Uszy przyciskał mocno do czaszki, a długie włosy, delikatne jak pajęczyna, lśniły w powietrzu, tworząc świetlistą koronę. Znów zastukał paznokciem w okno, aż zadźwięczało metalicznie, po czym otworzył usta. Jego głos brzmiał jak syk węża przebijający przez szum płynącej wody, jakby ktoś płukał gardło tłuczonym szkłem. Jedno słowo. Tylko jedno.

– Mój...

Oczy koloru płynnej lawy spoglądały na mnie z większą dumą niż kiedykolwiek dostrzegłem to u matki. Może nie tyle była to duma, co niepokromiona zachłanność. Widywałem już w życiu grendele, ale nigdy z tak małej odległości. Żaden z nich nie podszedł na tyle blisko, bym dostrzegł nagą żądzę w jego wzroku, gładką, pozbawioną porów skórę i całkowicie obcy szept.

Jezu Chryste – moja matka naprawdę przeleciała coś takiego?

Próbowałem przełknąć ślinę, ale zaschła mi w ustach, a mięśnie zmieniły się w galaretę. Nie mogłem oderwać oczu od ślepi potwora patrzącego na mnie zza okna. Z trudem chwyciłem powietrze. W tamtej chwili byłem w stanie jedynie oddychać i to ledwo, ledwo. Grendel przekrzywił głowę i znów zachrypiał:

– Mój. – W głosie przebijały duma i zadowolenie.

A ja wciąż nie mogłem się ruszyć. Ta istota, ten potwór przyszedł po mnie, a ja nie mogłem nawet ruszyć palcem. Przynajmniej do chwili, gdy blada ręka przebiła szkło i chwyciła mnie za gardło. Ostre pazury wbiły mi się w ciało niczym rzeźniczkie haki. Dopiero wtedy odzyskałem zdolność poruszania. Krzycząc jak opętany, padłem na plecy, a grendel, przesuwając się po ostrej krawędzi szkła gładko niczym woda, poleciał moim śladem. Wylądował mi na piersi – był znacznie cięższy, niż sugerowała jego chuda sylwetka. Spokojnie ważył tyle co ja. Wąskie szparki nozdrzy znalazły się o cal od mojej twarzy. Potwór odechnął głęboko – poznawał mój zapach.

– Krew z mojej krwi, kość z mojej kości. Tchnienie z mego tchu. – Poczułem, że po szyi spływa mi coś ciepłego. Cień uśmiechu przemieścił się w bok, a ochryply głos mruknął mi do ucha. – Czas wracać do domu.

Tym razem nie krzyknąłem. Zawyłem. W czystym, pozbawionym słów przerażeniu zacząłem szarpać rękę zaciskającą mi się na gardle i uniosłem kolana, by odepchnąć grendela. Ten potwór jednak nawet nie drgnął. Drugą ręką chwycił mnie za nogę – czułem się, jakbym wpadł w sidła na niedźwiedzie. Potem nagle uniósł mnie w górę i rzucił tak, że wyleciałem przez resztki okna na zewnątrz. Uderzyłem o ziemię tak mocno, że straciłem oddech. Chwytałem powietrze ustami i próbowałem przetoczyć się na plecy. Gwiazdy tańczyły mi przed oczami, w duecie z okrągłym księżycem. Na chwilę odleciałem, moje myśli płynęły wolno i lekko jak melasa.

Potem usłyszałem Nika. Jego głos, zwykle tak spokojny, odbierałem teraz jak kłęb drutu kolczastego, był pełen rozpaczy i furii. Przerwał mój trans, jakby przeciął go nożem. Zdołałem unieść się na łokciach. Świat wciąż wirował, ale teraz widziałem przyczepę. Choć oddałbym wszystko, byle tylko stracić wtedy na chwilę wzrok.

Sophia stała w drzwiach... Moja matka. Przez chwilę, jedną sekundę wyrwaną poza czas, była tak chłodna i piękna jak zawsze. A potem zmieniła się w żywą pochodnię. Jej koszula rozgorzała płomieniami. Ciało poczerniało, a włosy buchnęły ogniem, tworząc świetlistą aureolę. Chyba krzyczała, a może to byłem ja. Potem zniknęła, wpadła z powrotem w szalejące w głębi przyczepy piekło. Krzyki nie ucichły, a zatem musiałem to być ja. Sophia zniknęła, a Niko... Nie widziałem go ani nie słyszałem.

Rozpaczliwie drapiąc trawę i ziemię, zdołałem w końcu unieść się na czworaki. Nie byłem w stanie iść, ale próbowałem pełznąć. Pokonałem tak najwyżej parę kroków, gdy czyjeś dłonie chwyciły mnie za ręce, nogi i włosy. Grendele były wszędzie,

wyskakiwały z płonącej przyczepy, rozdzierając mrok. Kopałem je, biłem pięściami i wołałem Nika, aż straciłem głos. Wtedy dwa grendele stojące obok mnie zrobiły coś z powietrzem, bo rozdzieliło się wzdłuż pionowej linii – pulsującej wstążki trupiosinego światła. Szpara rozszerzała się, rozciągała, aż w końcu pośrodku mroku ukazał się poszarpany otwór. Wtedy potwory pociągnęły mnie za sobą, a ja wciąż wzywałem brata, choć wiedziałem, że spłonął w przyczepie. Wiedziałem, że mój brat, jedyny człowiek, jaki mnie kiedykolwiek kochał, jedyny, którego obchodził mój los, zginął. Nie tyle za mnie, co z mojego powodu.

Poddałem się. Nie było powodu, by dalej walczyć. Nie zdołałbym pokonać ich wszystkich ani uciec, a teraz nie byłem nawet pewien, czy tego chcę.

– Moja krew... – wyszeptał ktoś. – Mój potomek. Mój. – Skóra zimna niczym kość przyłgnęła mi do policzka, a szpony wbiły się w ramiona. Miejsce, do którego mnie zaciągnęli, to jednak nie była dziura, lecz drzwi. Wrota do piekła.

Tatuz dotrzymał słowa i zabierał mnie do domu.

Teraz był to tylko sen, ale to wszystko zdarzyło się naprawdę. Na szczęście – albo niestety – nie pamiętałem, co się działo później. Niko musiał mi wszystko opowiedzieć.

Nie zginął tamtej nocy. Moim zdaniem, było to spore osiągnięcie, nieważne jak bardzo Niko je bagatelizował. Zdołał wyskoczyć przez okno w pokoju. Miał trochę poparzeń i zadrapań od szkła, ale przeżył. Obiegł płonąca przyczepę w samą porę, by zobaczyć, jak grendele przeciągają mnie przez wrota. Szczelina zamknęła się za nami i Niko został sam. Sophia nie żyła, a ja przepadłem bez śladu. Tylko on i dymiący stos stopionego metalu i plastiku. A jednak nie odszedł. Nie wsiadł do samochodu, by stamtąd odjechać. Nie uznał, że i tak nie zdoła mi już pomóc. Został tam, Bóg jeden wie dlaczego. Nie przyjechała straż pożarna ani policja. Mieszkaliśmy na takim odludziu, że nikt chyba nie zauważył pożaru.

Niko usiadł na trawie, w miejscu, gdzie zniknąłem, i czekał. Przez dwa dni czuwał w tym samym miejscu. Nigdy mnie nie opuścił, więc to chyba nic dziwnego, że wtedy też zaczął.

Dziwne było dopiero to, że wróciłem.

Drugiej nocy, w tym samym miejscu i prawie o tej samej porze co zniknąłem, nagle wypadłem z ciemności. Bezwładny, zupełnie nagi i oszołomiony. Gdy Niko ukląkł przy mnie na trawie, zawarczałem jak wściekły pies i może nawet wbiłbym mu zęby w rękę, gdybym w porę nie otrząsnął się z oszołomienia i nie rozpoznał jego twarzy. Nikowi dojsście do siebie zabrało trochę więcej czasu. W końcu dla niego minęły tylko dwa dni.

Dla mnie były to dwa lata.

Oczywiście, były to tylko przybliżone szacunki. W miejscu, do którego zaciągnęły mnie grendele, czas najwyraźniej płynął inaczej, bo wróciłem znacznie starszy. Włosy, wcześniej krótko przycięte, teraz sięgały mi do ramion. Urosłem o kilka cali, barki mi się rozrosły, byłem też nieco lepiej obdarzony przez naturę. Był to najwyraźniej drobny efekt uboczny odbycia pozaczasowej wycieczki przez piekło amnezji.

Nie pamiętałem niczego, co stało się po przekroczeniu bramy. Wszystko spowijał tak nieprzenikniony mrok, że prawie nie zdałem sobie sprawy z jego obecności. Gdyby nie fizyczne zmiany, przysięgłbym, że ani na chwilę stąd nie odszedłem.

Ja miałem z tym spory problem, ale Niko miał dziesięć razy gorzej. Jasne, Sophia nie była wzorową matką; Bóg widział, że wyprowadzaliśmy się od niej z radością. Mieliśmy nadzieję, że więcej jej nie zobaczymy, ale na pewno nie życzyliśmy jej śmierci. Są różne rodzaje śmierci, a konanie w płomieniach jest chyba jednym z najgorszych. Potem wróciłem ja – wyjący szalenic z zanikiem pamięci, który nie miał pojęcia, że w ogóle gdzieś zniknął – na dwa dni czy dwa lata, wszystko jedno. Wiedziałem, że było mu ciężko. Ale zacisnął zęby, a potem pięści, i wziął się do roboty. Dał mi zapasowe spodnie, które trzymał w bagażniku. Moje stare ciuchy, które leżały spakowane na tylnym siedzeniu

wozu, były o wiele za małe. Gdy już się ubrałem – niezręcznie, drżącymi rękami – Niko zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

– Widziałem krew – powiedział cicho. – Gdy cię zabierali, widziałem krew na twoich ramionach i szyi. – Dotknąłem palcem blizn. Po tych ranach zostały brzydkie blizny. – Jezus, Kal, to naprawdę ty!

Uwięziony w mocnym uścisku, ledwie zdołałem wydyszeć:

– Kaliban.

Wtedy nawet Niko nie mógł zaprzeczyć, że jestem potworem.

* * *

– Kal, co się dzieje?

A jednak. Po czterech latach ucieczki przed grendelami Niko ani razu nie nazwał mnie Kalibanem. Nigdy nie pogodził się z moją pesymistyczną wizją. Cholerna Polyanna. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak Niko wyłania się z półmroku.

– Cztery godziny? – wzruszyłem ramionami. – Kto chciałby tyle spać? Idź do łóżka, ja już wstałem. – Szturchnąłem go w ramię. – I postaraj się nie chrapać, Cyrano. Jak mam usłyszeć nadchodzących złoczyńców, skoro ich zagłuszasz?

Niko miał tak zwany rzymski nos i w ogóle ładny profil. Kobiety oglądały się za nim bez przerwy, ale przecież tego mu nie powiem. Wymyślałem mu za to różne złośliwe przezwiska (Cyrano było chyba najmniej obraźliwe), a on uwielbiał je wszystkie – wyrażał to energicznym trzepnięciem mnie w tył głowy.

Tym razem jednak nic nie powiedział, nie zachnął się nawet, że okłamałem go w sprawie powracającego koszmaru. Doskonale wiedział, co go wywołało. Bez słowa podążył w stronę swojego pedantycznie, po wojskowemu zasłanego łóżka, po drodze ściągając z siebie ubranie. Ja z kolei nie powiedziałem nic na temat dużego noża, który schował pod poduszkę. Wszyscy mamy swoje ulubione maskotki, po prostu niektóre są trochę ostrzejsze.

Gdy poranek w końcu przywłókł do nas swój zmęczony tyłek, postanowiłem zrobić śniadanie. Moja wachta minęła zupełnie spokojnie. Tylko ja, zbyt jasno oświetlone mieszkanie i przyczajony koszmar.

– Dla mnie wafle sojowe ze świeżymi owocami – oznajmił Niko. Wszedł do kuchni, już ubrany, i ściągnął w kucyk włosy sięgające mu prawie do pasa. – I trochę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, jeśli można.

– Jajecznica i piwo, tak jest, już się robi – odparłem z kamienną twarzą. – Chyba moja kolej iść po zakupy, co?

– Można tak powiedzieć – zgodził się Niko, siadając przy nakrytym stole. Po drodze wyjął za mnie ketchup z lodówki. – W zasadzie twoja kolej była co tydzień przez cały zeszły miesiąc. – Uniósł kpiąco brew. – Nie żebym liczył czy coś.

– Uhm – mruknąłem sceptycznie. Podzieliłem zawartość patelni pomiędzy dwa talerze, po czym wstawiłem ją do zlewu, przysunąłem sobie krzesło, obróciłem oparciem do stołu i usiadłem na nim okrakiem. Szczodry kleks ketchupu na pulchną, żółtą masę i śniadanie gotowe. Niko stanowczym ruchem postawił przede mną szklankę zimnego mleka.

– To nie wygląda jak Budweiser – wymamrotałem z pełnymi ustami.

– Wyobraź sobie, że to takie białe piwo z beczki w kształcie krowy – poradził Nik, po czym zaczął wsuwać swoją porcję, popijając piwem z krowy. Potem lekko stuknął widelcem w talerz.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy dziś pójść do Central Parku i pogadać z Bobokiem. Warto by go zapytać o tego grendela.

– Boboka? – spytałem z ożywieniem i skrzywiłem usta w złośliwym uśmiešku. – Tylko zapytać? Nie możemy przy okazji skopać mu tego ubłoconego tyłka? Trochę ćwiczeń jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Wprawdzie nie byłem tak zabójczo skutecznym wojownikiem jak Niko, ale potrafiłem o siebie zadbać. Czasy, gdy unikałem walk, obawiając się, że obudzą we mnie potwora, dawno minęły. Po wycieczce do piekła przemyślałem sprawę i podjąłem decyzję. Nie da się obudzić czegoś, co już dawno zerwało się z łańcucha, szamoce się i szczerzy kły.

Brat spojrział na mnie z lekką dezaprobatą.

– Póki zjada tylko bandytów, nie ma co komplikować sytuacji. – Jęknąłem rozczarowany, ale Niko po namyśle dodał: – Chyba że nie zechce współpracować.

– Wypijmy za nadzieję. – Wzniosłem toast szklanką mleka.

Tak, potwory naprawdę są wszędzie. Biorąc pod uwagę, jak wygląda ten świat, nie było to wcale zaskakujące. Najdziwniejsze, że większość ludzi nie miała o tym bladego pojęcia. Potwory przemykały wszędzie, wystarczyło otworzyć oczy i rozejrzeć się wokół. Jednak ignorancja to błogosławieństwo, na świecie żyje zatem wiele miliardów błogosławionych ludzi. Do tej pory nie mogłem otrząsnąć się ze zdziwienia, gdy zobaczyłem na ulicy, jak ghul przemyka wśród cieni, całkowicie ignorując zwyczajowe reguły poruszania się i absolutnie nikt nie reaguje. Kiedyś nawet udało mi się napotkać wyszczerzonego w uśmiechu wilkołaka, półtora raza większego od każdego z wilków pokazywanych na Animal Planet, biegnącego po chodniku i podziwiającego nocne życie. I nikt nie uznał, że to trochę dziwne. Jakiś miłośnik zwierząt nawet pogonił za nim, żeby sprawdzić numer na obroży. Może ludzka głupota jest demonem sama w sobie.

Gdy znaleźliśmy się w parku, nocny ziąb złagodniał już do zwykłego jesiennego chłodu. Biegaliśmy truchtem po ścieżkach

prawie dwadzieścia minut, nim zanurzyliśmy się w las, kierując się w mniej uczęszczane miejsce – zarośnięte trawą bagno, wypełnione gęstym błotem, w którym dobrze czułoby się tylko prosię. Albo bobok.

Oparłem się o drzewo, założyłem ręce na piersiach i gwizdnąłem przeciągle.

– Puk, puk, Bobby. Masz gości. Jak dobrze wstać, skoro świt. – Błoto pozostało gładkie i nieruchome. W ciszy rozległ się odgłos metalu trącego o skórę – Niko dobył krótkie, szerokie ostrze, długości swojego przedramienia.

– Widzisz, Bobby? – ciągnąłem dalej. – Udało ci się wkurzyć Nika. To niegrzeczne. I niespecjalnie mądre. – Odszedłem od drzewa, zbliżyłem się do błota i przykucnąłem, opierając łokcie na udach. – Wiem, że tam jesteś, Bobby. Wyczuwam cię. Mam to po tacie.

Dwoje oczu wielkości piłek softballowych zamrugało leniwie z błota.

– Dupek z ciebie, Kal. To też masz po nim.

Nie wiedziałem wprawdzie, jak długo żyją boboki, ale byłem gotów się założyć, że całkiem długo. To miejsce stanowiło dom Boba, jeszcze zanim nazwano je Central Parkiem. Domyślałem się, że swój nowojorski akcent zawdzięczał zaglądnijacym tu biegaczom, wrotkarzom i rabusiom. Zakołysałem się na piętach i parsknąłem śmiechem.

– To akurat nie jest sprawa genetyki – to wyłącznie moja zasługa.

Błoto zabulgotało i spłynęło po olbrzymich barkach, gdy bobok wstawał.

– I to, że za każdym razem chcesz mi dokopać, też? Nie wydaje mi się.

Wyprostowany na całą wysokość miał ponad osiem stóp – potężna postać ociekająca brązową mazią i oblepiona zaschniętym błotem. Nie miał szyi – głowa łączyła się bezpośrednio z ramionami. Bezwargie usta pełne były dużych zębów, nachylonych do

środką jak u rekina. Miał ręce wielkości tac, u każdej po dwa palce i kciuk, z grubymi czarnymi szponami mierzącymi prawie dziesięć cali. Niezły okaz, ten nasz Bobby. Delikatny kwiatu-szek. Kropelka porannej rosy. Kuweta kociego żwirku, w którą ktoś tchnął mordercze życie.

– Czego chcecie, żule? – spytał.

– Kulturalnie porozmawiać. – Niko postukał ostrzem o kolano. – Chyba nie macie nic przeciwko?

Bezdzusne oczy, równie pozbawione złości, co i sympatii, przez dłuższą chwilę obserwowały błyski stali. Potem stwór wzruszył ramionami.

– Chcecie pogadać, co? Jasne, po to tylko żyję. Co chcecie wiedzieć?

– Grendel – podsunąłem. – Buszował wczoraj po parku. – Zerknąłem w stronę Nika i szybko dodałem: – A w każdym razie przez jakiś czas. Ciekawi jesteście dlaczego.

– Może powinieneś go być zapytać, zanim obciąłeś mu głowę – burknął Bobok. – Byłoby znacznie prościej.

Górna warga Nika uniosła się o milimetr, odsłaniając równe białe zęby.

– Ale gdzie tu zabawa?

Tak jest. Niko umiał gadać. Twardy jak stal, zimny jak lód. Ale wbrew temu blefowi, zrobił to tylko z jednego powodu. Obiecał sobie, że żaden grendel już się do niego nie zbliży. Mój brat wołał nie ryzykować.

– Naprawdę obciąłeś mu głowę? – spytałem zaciekawiony.

Niko dotknął ostrza opuszką kciuka i potrząsnął głową.

– Miałbym stępić to cudeńko na kościach grendela? Bez sensu. Co on tu robił, Boboku? – Bez ostrzeżenia wrócił do tematu. – Tylko sobie przechodził czy robił coś podejrzanego?

– Podejrzanego? – Bobok parsknął ochryplym bulgoczącym śmiechem, aż prysnęły krople błota. – Chyba żartujesz. Nieważne, co robił ten mały gnojek, ale na pewno nic dobrego. Powinieneś to wiedzieć. Elfy po prostu takie są.

Przez wiele lat nie mieliśmy pojęcia, czym są grendełe. Dla mnie były to po prostu potwory, demony, poza tym niewiele mnie obchodziły. Niko, oczywiście, był ciekaw. Jego umysł pracował non stop, ciągle domagając się odpowiedzi: co, jak, dlaczego. Chodził od jednej biblioteki do drugiej, studiował mitologię i demonologię, aż zaczęła mu wychodzić uszami, ale i tak nie zdołał ich namierzyć. Dopiero Bobok oświecił nas w tym temacie.

Elfy. Grendełe były elfami. Pewnie dotąd wyobrażaliście sobie, że elfy to eteryczne istoty o łagodnych rysach, blond włosach i tajemniczym spojrzeniu. Może uważaliście, że przechadzają się odziane w przejryste tkaniny lśniące klejnotami i jeżdżą na białych koniach. A może jesteście bardziej nowocześni. Może wyobrażaliście sobie elfy prowadzące miejskie życie. Ubrane w skórzane ciuchy, jeżdżące na motocyklach, skrywające spiczaste uszy pod kaskami. To też niezła fantazja, prawda? Ogólnie rzecz biorąc, wierzyliście, że elfy są dobre. No, może nie wszystkie. Od czasu do czasu zdarzała się jakaś czarna owca. Ale większość z nich jest dobra i wygląda odlotowo. Każdy gracz RPG wam to powie.

A zatem jak to możliwe, by ktoś dopatrywał się takich istot w czerwonoookich bestiach, które mnie ścigały? Cholera, kto to wie? A jakim cudem żeglarze dopatryli się syren w krowach morskich? Jasne, krowy morskie to fajne zwierzęta, ale alabastrowe piersi, seksowne kształty, zwinny ogon, pełne usta? Nic podobnego.

Nigdy nie przestawiłem się na to nowe określenie. Grendełe to grendełe, nie ma sensu wchodzić w szczegóły. Trudno mi było ogarnąć to, że potwory prześladujące mnie od dzieciństwa miałyby należeć do tego samego gatunku co niezwykłony wojownik Shealendil albo Beoric Blondwłosy. Grendełe nawet nie nosiły ubrań, nie mówiąc już o koronkach i jedwabiach.

– A to „nic dobrego” to taka generalizacja czy konkretna wiedza? – zagaił Niko, podchodząc coraz bliżej, aż w końcu stanął na skraju błota.

– Tylko pogłoski. – Szpony zazgrzytały, gdy Bobok podrapał się po szorstkiej, łuskowatej skórze. – Ja tam nie widziałem żadnego. Nie mam pojęcia, co miałyby tu robić. To nie są miejskie stworzenia. Pewnie tylko przechodził.

Powiedział to z takim brakiem zainteresowania, że mu uwierzyłem. Najwyraźniej był tym znudzony, nie próbował nas oszukać. Nie widział tego grendela i nie miał pojęcia, czego mógł tu chcieć. Zatem zostawiliśmy go w błocie, żeby pożerał sobie bandytów w spokoju, i dokończyliśmy rundkę po parku. Przez całą drogę burczałem z niezadowolenia, ale Niko nie zwracał na mnie uwagi i nawet przyspieszył kroku. Lubił powtarzać, że podczas ucieczki trzeba umieć uciekać.

Potem zatrzymaliśmy się na lunch, jako że w domu odczuwaliśmy dotkliwy brak podstawowych produktów spożywczych. Ja zaproponowałem hamburgery, ale Niko upierał się przy czymś zdrowym i całkowicie pozbawionym smaku. A zatem zawarliśmy kompromis: zajrzeliśmy do małej pizzerii i zamówiliśmy pizzę wegetariańską. Zawierała ciasto i żółty ser, więc uznałem, że będę w stanie ją przełknąć, a Niko może sobie zjeść warzywa z wierzchu, ile tylko zapragnie. Siedział tyłem do ściany i wpatrywał się we mnie. Ja zaś wpatrywałem się w szklankę.

– W mojej coli jest jakiś owad.

Niko pochylił się i skinął głową w zamyśleniu.

– Na to wygląda – zawyrokował i odchylił się na oparcie. – Ale to też pełnowartościowe białko. Podejrzewam, że jest bardzo odżywczy. Daj mu szansę.

Prychnąłem, zastanawiając się przy tym, czy wyłowić robaczka łyżką, czy odesłać colę do kuchni. Decyzje, decyzje.

Tymczasem mój brat, zupełnie niewzruszony moim dylematem, dobrał się do gorącej pizzy. Odstawiłem szklankę, pozostawiając decyzję w rękach natury. Walcz albo giń. Niech przetrwają najsilniejsi. Chwyciłem trójkącik pizzy i przeciągnąłem na grubo, fajansowy talerz, po czym wrzasnąłem i podmuchałem na

poparzone palce. Niko podniósł swój kawałek i spojrzał na mnie z wyższością:

– To kwestia dyscypliny. Przewaga umysłu nad materią.

– Aha, załóż się, że potrafisz też łamać deski swoim fiutem. Prawdziwy twardziel z ciebie. – Zdjąłem z pizzy coś zielonego i obrzuciłem krytycznym spojrzeniem. To był brokuł. – Co teraz robimy? Uznajemy, że grendel przyszedł tylko pozwiedzać miasto, czy kopujemy głębiej?

– Wiesz, Kal, nie zapisywałem się ostatnio do Klubu Niepoprawnych Optymistów. A ty?

– Tak właśnie myślałem. – Spojrzałem na zegarek. – Nie masz dzisiaj lekcji? – Oprócz zleceń z agencji ochrony, Niko dorabiał sobie jako instruktor sztuk walki w pobliskim dojo. Dzięki temu zyskiwaliśmy więcej środków na nasz fundusz finansujący akcję zwiewania, gdzie pieprz rośnie.

– Później – odparł niedbale. – Musimy się z tym uporać. Jedz brokoły, zanim wystygną.

Skrzywiłem się, ale posłuchałem.

– Wyszoruj podłogę, Kopciuszk. Jedz brokoły, Kopciuszk – burczałem z ustami pełnymi ciasta.

Nawiasem mówiąc, owad zdołał wydostać się ze szklanki. Zuch robal.